

Ks. Tadeusz ZALESKI-ISAKOWICZ

SKARBY I SKARBNICZY KOŚCIOŁA

Współczucie w znaczeniu współuczestniczenia w problemach bliźniego okazuje się być najlepszą drogą do ludzkiej duszy. „Płacz, płacz z płaczącymi” – mówią słowa włoskiej pieśni religijnej – „ciesz się, ciesz z cieszącymi”.

Pamięci Stanisława Pruszyńskiego

Święty Wawrzyniec, diakon – mówi pewna stara legenda – był skarbnikiem rzymskiej gminy chrześcijańskiej. Gdy wybuchły prześladowania, został uwięziony i wzięty na tortury. W czasie zadawania mąk żądano od niego ujawnienia miejsca ukrytych skarbów. Kazał wówczas zaprowadzić się do jednej z najbiedniejszych dzielnic miasta. Pokazując na zgromadzony tłum biedaków i żebraków, powiedział: „To są skarby Kościoła”. Dla Rzymian słowa te były zwykłą kpina, za którą św. Wawrzyniec zapłacił życiem, konając długo na rozpalonej kracie. Jednak dla nas chrześcijan kryje się w nich ogromna prawda.

Swoje rozważanie piszę w obliczu zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Zasiadając do wigilijnego stołu, wspominamy Chrystusa jako ubogą dziecię. Naród żydowski oczekując na przyjście Mesjasza, wyobrażał Go sobie jako potężnego władcę, który zbuduje na ziemi potężne królestwo. Tymczasem rodzi się On nie w pałacu czy w warownym zamku, ale w stajni wśród gospodarskich zwierząt. Jego ojcem jest sam Bóg, ale matką zwykła prosta kobieta, którą opiekuje się najzwyczajniejszy na świecie człowiek, cieśla z zawodu. „Nie było miejsca dla Ciebie...” – śpiewamy w czasie pasterki, wspominając troski Maryi, która nie mając dla Jezusa nawet pieluszek „siankiem Go okryła”.

Troski i cierpienia ubogich są na trwałe wmurowane w duchowy fundament Kościoła. Na przestrzeni wieków różnie jednak z tym bywało. Raz działalność Kościoła rozkwitała wspaniałymi dziełami miłosierdzia, a kiedy indziej o biednych po prostu zapomniano. Raz duchowni schodzili na dno nędzy ludzkiej, świadcząc przez to o potędze przykazania miłości, a kiedy indziej gubili Dobrą Nowinę wśród złota i ziemskich zaszczytów. Bieda ludzka stanowi wielkie wyzwanie dla wszystkich ochrzczonych, tak duchownych, jak i świeckich. Wyzwanie to ma szczególne znaczenie dla dzisiejszego społeczeństwa zmagającego się ustawicznie z materializmem praktycznym i teoretycznym.

W Kościele polskim wielką rolę odgrywała zawsze duchowość franciszkańska. Zaowocowała ona między innymi dwoma wspaniałymi dziełami charytatywnymi. Jedno z nich to Laski. Ich założycielka, obecna kandydatka na ołtarze, s. Elżbieta Czacka, urodziła się w rodzinie bardzo zamożnej, o wspaniałych historycznych tradycjach. Sama jednak od zarania życia dotknięta była cierpieniem. Już jako młoda dziewczyna straciła wzrok. Dla rodziny był to ogromny cios. Ona sama jednak umiała w tym wszystkim dostrzec znak od Boga. Gdy na świecie szalała pierwsza wojna światowa, przygotowywała się do nowej roli, do służby niewidomym na ciele i niewidomym na duszy, czyli niewierzącym i zabląkanym na drogach swego życia. Swój ideał streściła w czterech słowach, które siostry z założonego przez Nią zgromadzenia Franciszkanek Służebniczek Krzyża powtarzają codziennie w formie pozdrowienia: „Przez krzyż – do nieba”.

W tych słowach zawarta jest znamienna prawda. Chrystus bowiem zbawia nas przez swoją mękę na Krzyżu. Co więcej, nasze własne cierpienia możemy włączyć w to zbawcze dzieło. Ofiarując Bogu nasze bóle, choroby i osobiste tragedie, stajemy się jego współpracownikami. To samo dotyczy tych, co pomagają potrzebującym. Chrystus Ukrzyżowany w szczególny sposób mieszka w ludziach cierpiących. „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40), a przykład Lasek, zwanych słusznie polskim Asyżem, potwierdza ten sąd. Niejedno bowiem nawrócenie, które tam miało miejsce, dokonało się poprzez kontakt z osobą cierpiącą i pomoc jej świadczoną.

Drugim owocem duchowości franciszkańskiej jest idea albertyńska. Kim był Adam Chmielowski, czyli Brat Albert, wiedzą już prawie wszyscy. Również i jego Bóg przeprowadził przez cierpienie, zanim wezwał go do swojej służby. Przyszły apostoł ubogich jako 18-letni chłopak został kaleką, odnosząc rany w szeregach powstańców styczniowych. Amputacja nogi jego została przeprowadzona bez znieczulenia, a tylko życzliwość rosyjskiego lekarza uratowała go od więzienia i zsyłki. Przez wiele lat szukał swego miejsca w społeczeństwie. Poszukiwania te doprowadziły go do nowicjatu zakonnego, z którego został usunięty. Popadł w depresję i załamanie nerwowe. Czuł się całkowicie bezdomny i nikomu niepotrzebny. I właśnie z tej sytuacji życiowej, podobnie jak założycielka Lasek, umiał wyczytać Boże powołanie. Powołanie do niesienia pomocy ludziom odrzuconym przez innych.

W schroniskach albertyńskich tuż przy wejściu stał stół, a na nim chleb i nóż. Każdy, kto wchodził, mógł podejść do tego stołu i ukroić sobie kawałek chleba. Ten zwyczaj Brat Albert świadomie uczynił symbolem swego działania. W swoim duchowym testamencie pisał: „Powinno się być dobrym jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może dla siebie kęs ukroić i nakarmić się, jeśli jest głodny”. Życie chrześcijanina, który chce w pełni przyjąć Ewangelię, winno być ofiarą ustawicznie

składaną na ołtarzu miłości bliźniego. Nie jest to droga łatwa, ale i w nauce Chrystusa nie ma łatwych rozwiązań.

Mówiąc o idei albertyńskiej, warto zatrzymać się nad pojęciem „ludzi bezdomnych”. W ścisłym słowa znaczeniu dotyczy ono tych osób, które nie mają własnych mieszkań i tułają się po ulicach. Wbrew pozorom osób takich jest bardzo wiele, i to nawet w krajach zamożnych. Wprawdzie w naszym kraju władze państwowe w 1950 r. zlikwidowały wszystkie przytułki dla bezdomnych, uważając problem za nie istniejący, ale wystarczy wyjść wieczorem na dworzec kolejowy w wielkim mieście, aby zobaczyć, że życie pokazuje co innego. Brak jest statystyk, lecz bezdomnych w Polsce trzeba liczyć w dziesiątkach tysięcy. Smutny jest przy tym fakt, że oficjalna propaganda do dnia dzisiejszego nie jest w stanie „przełknąć” tego faktu, odwracając uwagę społeczną od sprawy bezdomnych. Szczytem zakłamania była na przykład akcja zbierania śpiworów dla bezdomnych w Nowym Jorku, gdy w tym samym czasie co kilka dni umierała jakaś osoba w krakowskich kanałach czy w ruderach na warszawskiej Pradze. W szerokim słowa znaczeniu bezdomni to też osoby, które wprawdzie posiadają mieszkanie i dowód osobisty, ale nie znajdują miejsca ani w społeczeństwie, ani nawet we własnych rodzinach. Dotyczy to przede wszystkim chorych psychicznie, alkoholików, recydywistów powracających po wielu latach więzienia, samotnych matek, sierot z domu dziecka, zniedołężniałych staruszków opuszczonych przez swoje dzieci i wielu, wielu innych osób. Na dobrą sprawę za bezdomnego można uznać każdego, kto czuje się samotny, opuszczony i nieszczęśliwy. I każdy z nich – w myśl idei Brata Alberta – ma prawo do miłości i pomocy z naszej strony. Wszyscy oni bowiem są prawdziwymi skarbami Kościoła!

W ostatnim czasie wśród „ludzi bezdomnych” coraz więcej jest osób upośledzonych umysłowo. Znajdują się one w każdym społeczeństwie, stanowiąc przeciętnie około pół procenta ludności. Ich sytuacja jest zawsze trudna. Rodzaj upośledzenia bowiem nie pozwala im na samodzielne życie, a ich losem nie jest zainteresowany współczesny świat goniący za przyjemnościami i coraz większym postępem technicznym. Sytuacja niepełnosprawnych umysłowo w Polsce jest szczególnie ciężka. Stanowią oni tutaj procentowo liczbę cztery lub pięć razy większą niż w innych krajach rozwiniętych. Przyczyną tego jest katastrofalny stan medycyny i nie mniej katastrofalny stan zanieczyszczenia środowiska naturalnego. Zatruta woda, zatrute powietrze, zatrute pożywienie – wszystko to daje tragiczne, nieodwracalne skutki, które uderzają w płód ludzki rozwijający się w łonie matki. Z kolei władze państwowe robią bardzo niewiele, aby pomóc tym ludziom. Brakuje prawie wszystkiego: lekarstw, sprzętu rehabilitacyjnego, specjalistycznych przedszkoli i szkół, warsztatów pracy chronionej, a przede wszystkim zrozumienia dla sprawy.

Artykuł swój dedykuję śp. Stanisławowi Pruszyńskiemu, z którym współpracowałem przez wiele lat, a który łączył w swoim życiu ideały s. Elżbiety Czackiej i Brata Alberta. Był sierotą. Matka zmarła przy jego urodzeniu, a ojciec zagłodzony został w syberyjskim łagrze. Sam był inwalidą przypadkowo postrzelony przez żołnierza radzieckiego. Wygnany z rodzinnego Wołynia, dzielił z milionami swych rodaków tułaczy los, osiadając w końcu w Krakowie. Nosił w sobie silną potrzebę pomagania innym. Być może wpłynęło na to jego sieroce dzieciństwo, a być może bolesne doświadczenia z czasów wojny. Nie mając własnych dzieci wraz z żoną wychował dwie sieroty, które uważał za swoje córki. Gdy one usamodzielniały się, zakładając własne rodziny, zaopiekował się trójką innych. Tym razem były to upośledzone umysłowo trzy młode osoby, żyjące w zakładzie zamkniętym. Był dla nich ukochanym „wujkiem”, a zarazem jedyną bliską im osobą, która ich odwiedzała i z którą mogły życzliwie porozmawiać. Zangażował się również w organizację obozów wakacyjnych dla dzieci niepełnosprawnych. Zbierał kartki żywnościowe, załatwiał węgiel, przewoził podopiecznych swoim samochodem, a gdy zaszła potrzeba, bez słowa zakasywał rękawy i szorował podłogi lub zmieniał pościel.

Wielkim przeżyciem stały się dla niego pielgrzymki Papieskie, w czasie których pomagał w pracach kwatermistrzowskich. Rozlewając w jednej z parafii tysiące kubków herbaty i tyleż razy spotykając się z uśmiechem wdzięczności ze strony zmęczonych pielgrzymów, zrozumiał, jak ważną rzeczą jest łączenie ze sobą ludzi dobrej woli, aby zdobyć siłę i inspirację do nowych działań apostolskich. Poświęcił się więc tej sprawie bez reszty. Mottem jego działania stały się słowa Jana Pawła II: „Pomóżcie mi budować cywilizację Miłości... Aby życie ludzkie stawało się bardziej ludzkie”. Wraz z przyjaciółmi stworzył nowy ruch społeczny „Ku cywilizacji Miłości”, którego głównym zadaniem jest tworzenie tzw. wspólnot nadziei. Wspólnoty te łączą ze sobą przedstawicieli różnych środowisk, głównie z kręgów ludzi pracy.

Wspólnoty te, zgodnie z założeniem inicjatorów, stawiały zawsze na pierwszym miejscu sprawę biednych i cierpiących. Zaowocowało to powstaniem Fundacji im. Brata Alberta, pierwszej tego typu w naszym kraju. Jej zadaniem jest pomoc osobom upośledzonym umysłowo. Pomoc ta prowadzona jest dwoma torami. Pierwszy z nich, to tworzenie schronisk albertyńskich dla tych niepełnosprawnych, którzy utracili swoich rodziców lub których rodzice ze względu na wiek i stan zdrowia są już niezdolni do sprawowania opieki. Istotą tych schronisk jest prowadzenie pracy wychowawczej w oparciu o małe wspólnoty, które niepełnosprawnym mają zastąpić ich utracone rodziny.

Drugi tor, zapoczątkowany osobiście przez Stanisława Pruszyńskiego, to znów łączenie ze sobą ludzi, tym razem pracowników i współpracowni-

ków fundacji, którzy tworzą skupione wokół niej „Grono Przyjaciół”. W myśl tego, każdy, kto wniesie do wspólnego dzieła choćby niewielką „cegiełkę” swej bezinteresownej pracy, staje się członkiem nowej rodziny – rodziny ludzi wrażliwych na potrzeby ubogich. Co więcej, do rodziny tej należą i podopieczni, którzy też wnoszą swoje „cegiełki”. Może je stanowić np. modlitwa lub cierpienie ofiarowywane na intencję fundacji, a nawet zwykły uśmiech lub dobre słowo. W ten sposób upośledzeni i pełnosprawni, chorzy i zdrowi, bogaci i biedni stają się dla siebie braćmi. I żaden z nich nie jest lepszy lub gorszy od drugiego.

Wobec rosnącej w społeczeństwie obojętności i znieczulicy działalność taka ma fundamentalne znaczenie. Potwierdzam to na podstawie osobistych doświadczeń wyniesionych z pracy duszpasterskiej wśród rodzin osób niepełnosprawnych. Widziałem wielokrotnie, że upośledzeni i ich rodziny oczekują pomocy od Kościoła nie tyle w postaci darów materialnych – choć i te w ich sytuacji są nieraz konieczne – co w postaci życzliwości i zrozumienia. Oczekują przede wszystkim żywej osoby, która byłaby ich przyjacielem. Niestety, wiele kościelnych akcji charytatywnych sprowadza się często tylko do rozdawania darów. Najobfitsza paczka świąteczna nie zastąpi jednak bezpośredniego kontaktu. Wsparcie materialne jest dopiero pierwszym krokiem: następnymi winny być ludzka troska i przyjaźń.

Jak potrzebna jest żywa osoba, niech świadczy przykład pewnej wielodzietnej rodziny, w której dwoje dzieci było głęboko upośledzonych umysłowo. Rodzina ta należała wprawdzie do jednej z parafii katolickich, ale przed paroma laty cała przeszła do Świadców Jehowy. Dlaczego? Dlatego, że oni się nimi zainteresowali i otoczyli ich opieką. Pomoc ta wcale nie polegała na przekazywaniu zagranicznych paczek, ale po prostu na okazywaniu zrozumienia. Matka tej rodziny twierdzi, że siostra zakonna, która z ramienia parafialnego zespołu charytatywnego odwiedzała ich, nigdy nie miała czasu na rozmowę z nią, a tym bardziej nie chciała słuchać jej zwierzeń. Zostawiała to, co przyniosła, i po wymianie zdawkowych słów zaraz wychodziła. Świadkowie Jehowy zaś, oprócz okazywanej osobistej pomocy, rozmawiali i cierpliwie słuchali opowiadań o codziennych troskach. I to przeważało.

Współczucie w znaczeniu współuczestnictwa w problemach bliźniego okazuje się być najlepszą drogą do ludzkiej duszy. „Płacz, płacz z płaczącymi” – mówią słowa włoskiej pieśni religijnej – „ciesz się, cieszyć z cieszącymi”. Pomoc materialna, gdy nie jest poparta naturalną życzliwością i dobrocią serca, staje się tylko filantropią. Może nawet zranić i odepchnąć obdarowanego. Dawanie jest wielką sztuką...

I znów niech mi wolno będzie posłużyć się świadectwem życia, tym razem śp. Józefa Sawy, jednego z wielkich „skarbników Kościoła”. Pochodził on z prostej wiejskiej rodziny. W czasach powojennych, jak wielu jego rówieśników, poszedł w poszukiwaniu pracy do budującej się Nowej Huty.

Pracował bardzo ciężko w Kombinacie Metalurgicznym. Był to czas, gdy ta tworząca się dzielnica Krakowa miała – według odgórnych założeń – stać się wzorowym społeczeństwem socjalistycznym, a więc społeczeństwem bez Boga. Jednak wola ludności tam mieszkającej była inna. Gdy po październiku 1956 r. zmieniła się oficjalna polityka, przystąpiono do wznoszenia pierwszej nowohuckiej świątyni. Kurs polityczny jednak znów się zmienił i władze dzielnicy postanowiły zamknąć plac budowy. W kwietniu 1960 r. robotnicy przez trzy dni bronili przed milicją drewnianego krzyża. Wśród broniących był i Józef Sawa. Skazany za to został na półtora roku więzienia.

Przeżycia te wyrobiły u niego szacunek i zrozumienie ludzkiej biedy. Poza tym obudził się w nim wielki kult znaku Krzyża Świętego. Gdy nastał czas „Solidarności”, był jednym z pierwszych, który zawiesił krzyż na fabrycznej ścianie. Zawiesił i otoczył go wielką czcią. Z tego powodu nawet zyskał sobie w pracy miano „Józka od Krzyża”. W stanie wojennym po stłumionym strajku wyniósł krzyż z zakładu pracy i ukrył go we własnym domu. W tym czasie starał się bardzo pomagać innym. Będąc przedstawicielem struktur związkowych, odwiedzał potrzebujących, zwłaszcza rodziny swoich zmarłych kolegów. Okazywał im ogromną troskę, załatwiał najróżniejsze sprawy związane z pogrzebami, sprawy nieraz bardzo uciążliwe. Jak ktoś obliczył, Józef Sawa zatroszczył się w ciągu kilku lat o 42 pogrzeby, zawsze uczestnicząc w mszy św. i przyjmując komunię św. w intencji zmarłych.

Zmarł w 1987 r., ale pamięć o nim przetrwała wśród robotniczej braci. Przetrwał również jego krzyż, który w czasie majowego strajku w 1988 r. znów został zawieszony na starym miejscu w fabrycznej hali. Przed krzyżem tym odprawiałem msze św. dla strajkujących, a dla wszystkich nas tam obecnych krzyż ten był znakiem nadziei i wytrwania. Wisi on tam do dnia dzisiejszego.

Bieda ludzka – i ta materialna, i ta duchowa – stanowi wyzwanie dla współczesnego świata. Jest wyzwaniem, wobec którego nikt nie powinien zostać obojętnym. Niech zakończeniem tych rozważań stanie się list przesłany do krakowskiego koła Towarzystwa Pomocy przez jednego z więźniów. List ten był odpowiedzią na świąteczne opłatki rozsyłane do zakładów karnych:

„Drodzy Przyjaciele z Towarzystwa! [...] Kiedy pan wychowawca wręczył mi paczkę świąteczną wraz z opłatkiem i życzeniami od Was, wzruszenie ścisnęło mi gardło. Bo jakże to? Nam, którzy Wam wyrządzamy krzywdy, okazujecie więcej miłosierdzia niż nasze własne rodziny. Mam rodziców. Ale kiedy wysłałem talon na paczkę, wrócił on z powrotem. Nie uczyniłem im krzywdy. Wychowywałem się w Domu Dziecka. Jestem teraz w szpitalu więziennym. Tym bardziej gest miłosierdzia z Waszej strony był dla mnie chwilą wzruszenia. Dlatego też serdeczne: Bóg zapłać! za ten wielki dar, jaki otrzymałem. Należę do Rycerstwa Niepokalanej i po wyj-

ściu złożę przysięgę, że nikt więcej nie będzie cierpiał z mego powodu. Jestem tutaj za nielegalne przekroczenie granicy i drobne kradzieże. Jeszcze raz serdecznie dziękuję i dzielę się z Wami tym drobnym, opóźnionym co prawda, opłatkiem”.